

## O ZULI POLICJANTCE, KAMIENNYCH BĄCZKACH I BARZE „POD KOKOSEM”

– Jesteśmy na miejscu – zgłosił pilot, zatrzymując smokowóz w ciemnym zaułku.

Rupert rozejrzał się niepewnie. Wysokie szare mury nie przyciągały wzroku. Od pewnego pamiętnego popołudnia, gdy pilot wywiózł go zamiast na grilla do przyjaciół – do nielubianej ciotki na herbatkę, Rupert kompletnie stracił do niego zaufanie.

– Skąd wiesz, że to tu? – zadał jedno z pytań, których pilot nie znośił.

– Z GPS-a... – wycedził tamten.

„Nie wierzę w GPS-y” – pomyślał Rupert. Wbrew logice i nauce, czyli wbrew wszystkiemu, co reprezentował jego ojciec – słynny profesor Wergiliusz – Rupert wierzył głównie w intuicję. No i naturalnie w Sztukę, przez duże S. Teraz intuicja, może przytłumiona przez głód, nie mówiła mu nic, a rozsądek się dziwił, że smok nie próbował załatwić sprawy telefonicznie.

Gdyby nie pilot, który nie spuszczał z niego wzroku, być może nawet by się wycofał. „Muszę go tu zostawić” – postanowił, wypatrując w szarym murze zarysu drzwi.

– Czekać tu na mnie grzecznie – wymamrotał, jednak pilot pokręcił zdecydowanie głową, aby po chwili, zmniejszając się do regulaminowych rozmiarów, wylądować w kieszeni Ruperta.

– Jestem twoim bezcennym świadkiem. Wszystko widziałem i wszystko słyszałem, lepiej więc bądź mądrym chłopcem – dobiegł jeszcze słaby głos, stłumiony ostatecznie przez zamek błyskawiczny.

– Nie jestem żadnym chłopcem – oburzył się Rupert, jednak dyskusja z pilotem zamkniętym w kieszeni wydawała mu się poniżej godności.

Jego namacalna obecność dodawała Rupertowi odwagi, chociaż nie przyznałby się do tego za nic ani przed sobą, ani – tym bardziej – przed nim. Zazwyczaj nie był strachliwy, ale owiane nie najlepszą sławą miejsce, w którego progi wstępował z własnej woli, wywoływało lekkie drżenie łap i śwędzenie uszu.

Dwie pary drzwi ustąpiły nadspodziewanie łatwo i smok ujrzał długi, mroczny korytarz. Rupert spodziewał się ciszy z ponurym echem kroków, ewentualnie jęków i krzyków skazańców, tymczasem z głębi dobiegały mieszane głosy i dźwięki muzyki.

„Chyba się załapałem na jakąś imprezę” – przebiegło mu przez łeb i począł spiesznie w tamtą stronę. Czuł coraz silniejszy słodki zapach. „Są przy deserach” – pomyślał.

– Osoba do kogo? – aksamitny głos tuż za plecami przygwoździł go w miejscu.

Mimo okazałych rozmiarów poruszała się bezszelestnie, jakby płynęła w powietrzu. Jej błękitna sierść zwijała się na czole w zabawne loczki, co było widać nawet spod czapki, wciśniętej między uszy. U paska wisały dwie pary kajdanek, którymi bawiła się od niechcenia.

– Jesteś policjantką? – wyjąkał.

– Ja tutaj zadaję pytania! – oburzyła się, pobrzękując znacząco zardzewiałym żelastwem. – Idź przed siebie i nie rozglądaj się na boki...

Rupert ruszył. Słodki zapach towarzyszył mu w drodze do jaskrawo oświetlonego pomieszczenia, w którym na ekranie rozgrywały się sceny jakiegoś przyjęcia. Kopiaste salaterki i półmiski przypomniały mu nie po raz pierwszy, że właśnie bezpowrotnie mija pora wieczornego posiłku. Postanowił się streszczać.

– Niezidentyfikowana kula zniszczyła moją nową instalację! – zakomunikował bez wstępów.

– Pomalutku... – Smoczyca wdzięcznie przysiadła przed komputerem. Dopiero teraz zobaczył jej ogon i aż jęknął z zachwytem. – Najpierw poproszę adres, rok urodzenia, imiona rodziców, odciski przednich i tylnych łap, prześwietlenie zębów, świadectwo szczepienia przeciwko wąsaczkowi torbielkowatemu, jadłospis z ostatniego tygodnia oraz parę przydatnych ploteczek na temat bliższych i dalszych krewnych.

Rupertowi aż zakręciło się w głowie. Trudno powiedzieć, czy z głodu, czy z powodu natłoku pytań, na które – w większości – nie potrafił udzielić odpowiedzi.

– Czy moglibyśmy o tym porozmawiać podczas kolacji? – zaproponował nieśmiało. – Jestem strasznie głodny.

– To nie restauracja, tylko komisariat oraz więzienie – odrzekła, znów pobrzękując wymownie kajdankami, a następnie sięgnęła po wystużoną książkę, otwierając ją bezbłędnie na właściwej stronie. – „Kto odmawia zeznań, może bez orzekania o winie trafić za kratki na okres od jednego do czterech lat”. Oczywiście, świetnych – dorzuciła. – A więc? – Zawiesiła na nim wzrok.

Zrezygnowany Rupert szybciotko podał wszystkie informacje, o jakie go prosiła, odmawiając jedynie przedstawienia świadectwa szczepienia, które – jak powiedział – jego ojciec, Wergiliusz, przechowywał, pilnie strzeżone, w sejfie. Jako ploteczkę rozpuścił krążącą od jakiegoś czasu niesprawdzoną informację, jakoby jego kuzyn Moniek cierpiał na nieuleczalnego platfusa.

Zula wszystko skrzętnie zapisała, stukając starannie pomalowanym pazurem w klawiaturę, a następnie zachęciła go, aby usiadł.

– A więc jakaś kula zniszczyła twoją instalację... Elektryczną, czy tak?

– Artystyczną... – sprostował nieśmiało, nie odrywając wzroku od imponującej kity. – Pisano o niej w najnowszym numerze „Galaktycznych śmieci”. Tak samo zresztą ją zatytułowałem. Tonie-my w odpadkach. „Galaktyczne śmieci” miały być protestem... – Ruperta zaczęło irytować przekrzykiwanie wesołej gromady biesiadników na ekranie telewizora. Przerwał, wskazując znacząco w tamtą stronę. – Nie można by tego ściszyć?

– Nie wiem, gdzie jest pilot... – wyznała policjantka.

Rupert poczuł gwałtowny ruch w prawej kieszeni i zanim zdążył zaprotestować, zamek błyskawiczny otworzył się z trzaskiem.

– Mogę się tym zająć. W zastępstwie... – oznajmił jego pilot, stając przed nimi w całej okazałości.

„Kretyn – pomyślał Rupert z odrazą. – Mógłby nam pomóc bardziej dyskretnie”.

– Miał zostać przy smokowozie. Ale nie chciał... – Rupert aż się skulił pod ciężkim wzrokiem policjantki. Przychodzenie gdziekolwiek w towarzystwie pilota uważane było za znak upadku obyczajów.

– Niech wyłączy... – burknęła niechętnie. – A potem się schowa.

Cisza, która zaległa po chwili, była równie miła, jak kłopotliwa. Po pilocie nie było już śladu. Tym razem lewa kieszeń Ruperta podskakiwała znacząco.

– Mój też zrobił się ostatnio nieznośny – przyznała smoczyca. – Nawet mnie nie chciał słuchać. A kiedy zagroziłam mu aresztem, zniknął... No, ale do rzeczy. Masz na imię Rupert, tak?

Przenikliwość policjantki odebrała mu pewność siebie na dobre dwie minuty, podczas których przypomniał sobie, że ma na sobie bluzę z wyhaftowanym imieniem. Pokiwał łbem, a potem spytał:

– A ty?

– Przecież to ja ciebie przesłuchuję! – Smoczyca spróbowała przybrać groźny wyraz pyska. – Czy mógłbyś opisać tę kulę?

– Okrągła. Wielka, czarna, szybka, zdecydowana na wszystko. Bezwzględna... – wyliczał w skupieniu.

– Wydawała jakiś dźwięk? – Policjantka na chwilę oderwała wzrok od monitora.

– Rozwaliła moją rzeźbę! Ze złomu, butelek, sprężyn i kabli! Był taki hałas...

– Tak, tak, mogę to sobie wyobrazić... – przerwała mu, stukając pomalowanym na zielono pazurem w kamienny blat. – Ale czy nie byczyła?

– Nie wiem. Słyszałem tylko huk. Myślisz, że to były...? – Rupert popatrzył na nią z ciekawością. Kamiennych bączków przybywało w zastraszającym tempie. Czasami tworzyły chmury tak zbite i gęste, że trudno było odróżnić jednego owada od drugiego. O ile bączki można uważać za owady...

– Tak myślę – zgodziła się. – Mnożą się zgłoszenia. Najpierw kule były malutkie jak piłeczki do ping-ponga. Ale zachowywały się równie arogancko. I umiały nieoczekiwanie zmieniać kierunek. Jak będą rosnać w takim tempie...

„Muszę o tym porozmawiać z ojcem” – postanowił Rupert, jednak nie powiedział tego głośno. Eksperymenty Wergiliusza budziły nie zawsze zdrowe emocje i Rupert nie zamierzał się przyznawać, niepytany, czym zajmuje się jego ojciec. „Dobrze, że policja nie ma prawa pytać o nazwiska – pomyślał. – Już dawno wszystko by się wydało”.

– Jestem głodny – przypomniał nieśmiało.

– Ja też – usłyszał ku swojej radości. – Pora skontrolować bar „Pod kokosem”.

\* \* \*

Zaczęło się niewinnie, od kociołka zupy z gwoźdźcia. Rupert pochłoniął go jednym haustem, czując niestety równie dojmującą pustkę w żołądku, jak przed przekroczeniem gościnnych progów baru. Przyglądał się, jak smoczyca policjantka sprawnie zagląda we wszystkie kąty,

wymiatając stamtąd zapomnianych gości i porzucone potrawy. Potem przeczytała Kartę Dnia i zamówiła dwa kilometry pieczonych ziemniaków i wiadro kompotu, a w końcu przysiadła się do jego stolika, szepcząc teatralnie:

– W kącie pod szafą siedzi kamienny bączek. Udaje, że go nie ma. Sądzę, że powinnam go aresztować...

„To ona tak słodko pachnie. Jak ciasteczko” – pomyślał, kiedy rozległo się brzęczenie i bączek przemknął przez salę, gasząc wszystkie świece.

– Moje zamówienie ceduję na Ruperta! – dał się jeszcze słyszeć głos policjantki i słodki zapach rozwiął się jak dym.

Zamiast nastrojowych świec, wewnątrz baru rozświetlił blask jarzeniówek. Po błękitnej smoczycy oraz bączku nie było śladu, natomiast przed Rupertem piętrzyły się stopy apetycznie przyrumienionych ziemniaczków. „Wie, co dobre” – myślał z rozrzewnieniem tym większym, im stopy stawały się mniejsze. Po pierwszym kilometrze zmalowały na tyle, że dojrzał siedzących pod ścianą nieznanymi.

Było ich dwóch. Uderzająco zwyczajni, do tego stopnia starali się wtopić w tło, że od razu zwracali na siebie uwagę. Szare, ciężkie smoki, których czujne oczy zupełnie nie pasowały do kolorowych koszulek z krzykliwymi reklamami. „Coś jest z nimi nie tak” – pomyślał Rupert, chociaż nie umiałby powiedzieć co, nawet gdyby ktoś go o to spytał.

– Płacisz gotówką czy kartą? – Kelnerka zasłoniła mu widok.

– Za zupę już zapłaciłem... – Rupert gorączkowo przeszukiwał kieszenie, w których nie znalazł nic. Zupełnie nic. Nawet pilota. „Gdzie on się podział?” – myślał w panice, podczas gdy kelnerka przyglądała mu się krytycznie.

– To było zamówienie policjantki... – Wzruszył wreszcie ramionami. – Nie wiesz czasem, jak ona ma na imię?

– Zula... – Kelnerka sięgnęła po telefon. – Zaraz znów się z nią spotkasz... – dodała groźnie. – Chyba że zapłacisz...

– Wolę się spotkać. – Rupert rozjaśnił się na samą myśl. – Poczekam na zewnątrz... – Podniósł się ciężko. Ostatnich kilka ziemniaczków mrugało do niego zachęcająco, więc wsadził je sobie do kieszeni, na czarną godzinę.

Odwracając się w stronę wyjścia, dostrzegł, że dwa szare smoki zniknęły, nie dojadając nawet w połowie swoich dań. „Podejrzane typy” – pomyślał, człapiąc w stronę drzwi.

Powietrze było wyjątkowo rześkie, a noc bezchmurna. Rozejrzał się z zachwytem po czarnym niebie, próbując zliczyć księżycy, ale przemieszczały się tak szybko, że nie mógł za nimi nadążyć. Naliczył cztery zielone, trzy czerwone i siedem żółtych, gdy jego astronomiczne kontemplacje przerwał metaliczny głos:

– Jak zaraz nie wrócisz do domu, twój ojciec się wścieknie.

Pilot siedział w swobodnej pozie pod gigantyczną pokrzywą i polerował złącza. „Jeszcze tego brakuje, żeby mnie pouczał, co mam robić” – zirytował się w duchu Rupert, tym bardziej że pilot miał rację. Wergiliusz bywał nerwowy, a stan jego nerwów pogarszał się zwykle w miarę wschodzenia księżyców.

„Muszę poczekać na policjantkę Zulę” – pomyślał smok, a pilot podniósł głowę.

– Nie musisz!

„Czyta w moich myślach” – przeraził się Rupert, podczas gdy pilot ciągnął monotonicznie:

– Ona wciąż ugania się za bączkiem. Jedzie tu do ciebie jej szef. Ja na twoim miejscu...

– Wiejemy! – zdecydował w jednej sekundzie Rupert, rozglądając się za swoim wozem. – Gdzie smokowóz?! – ryknął.

– No właśnie, gdzie? – Spojrzenie pilota omiotło zaparkowane przed barem pojazdy, z których żaden nie był ich własnością. – Mogę uruchomić inny... – zaproponował, stając od niechcenia przy sportowym modelu z otwieranym dachem.

Zbliżający się odgłos policyjnej syreny rozwiął wątpliwości Ruperta. Po chwili mknęli przez śpiące miasto, coraz dalej od nieprzyjemnego dźwięku, baru i kłopotliwych wspomnień.

– Odstawisz go na miejsce natychmiast, jak wysiądę – sapał zdenerwowany Rupert. – Może nikt się nie zorientuje. A gdyby cię brali na spytki, udawaj głupka.

Wypadli już na przedmieścia. Kręta droga pod górę ginęła między skałami, księżycy migwały jak w dyskotecce, co chwila oświetlając inny odcinek, aż zagłębili się w las paproci – sygnał, że wkrótce dojadą na miejsce.

– Skąd wiedziałeś, że Zula nie przyjedzie? Jak to się stało, że gwizdnęli mój smokowóz? Przecież miałeś go pilnować! – We łbie Ruperta kłębiły się liczne pytania, na które życzyłby sobie natychmiast otrzymać odpowiedź, jednak snop światła z wieży laboratorium właśnie omiotł pojazd. – Zatrzymaj się! – zakomenderował. Dalsza droga była zbyt ryzykowna.

Wergiliusz na pewno niecierpliwie na niego czeka. Rupert już jakiś czas temu wyłączył telefon, aby uniknąć kłopotliwych pytań. Gdyby przyjechał nieznanym smokowozem, ich lista znacznie by się wydłużyła.

Gramoląc się z pojazdu, rzucił w stronę pilota:

– Daj mi znać, jak wrócisz. I pamiętaj, ojcu ani słowa...

Śmiech pilota przypominał skrobanie gwoździem po blasze. Rupert z ulgą odprowadził wzrokiem znikający w lesie pojazd, a potem ciężkim krokiem ruszył ku masywnej bramie. Zanim ją przekroczył, zjadł dla wzmocnienia resztę ziemniaczków. Był pewien, że czekająca go wkrótce rozmowa może okazać się długa i wyczerpująca.